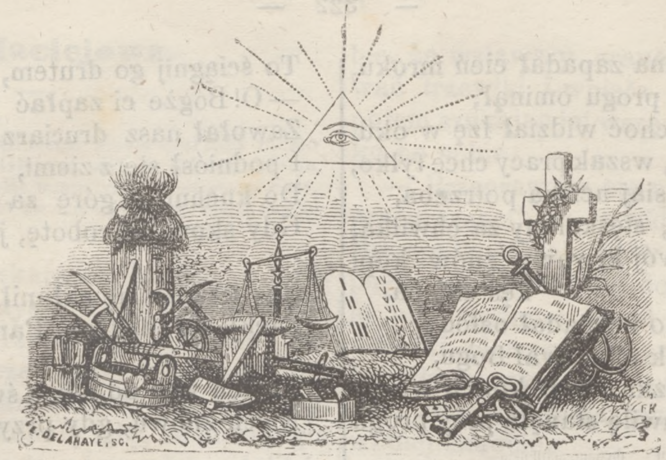
ROK PIĄTY.

№ 39.

WARSZAWA

d. 11 (23) września

1860.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

17ta po Świątkach.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Darów Bożych trzeba mądrze i sprawiedliwie używać, aby to, co jest na dobry uczynek dano, przyczyną do grzechu nie było. *Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę*).

Druciarz.

Ej! huczno, bo huczno!.. karnawał w Warszawie,
I ciepło tańczącym, choć śniegi wiatr miecie,
Bo każdy wesoły, oddany zabawie,
Zapomniał, że zimy bywają na świecie.
Wieczorem hulanka, a śpiączka dzień cały,
Ej! co tam po pracy, niech żyją zapusty!..
Dość spocząć, gdy bieda ostudzi w nas szały,
Lub starość się ozwie doświadczenia usty.
Więc zima to była, w płaszcz biały odziana,
Gdzie trzeba ogniska i chaty pilnować,
Gdy druciarz, ta postać tak dobrze nam znana,
Szedł sobie i wołał: *hej garnki drutować*!
Hej! garnki drutować! lecz głos w piersiach chrypnął,
Bo biedny gdzie tylko przystanął przed progiem,
Gdzie wstąpił na schody, gdzie drzwiami zaskrzypnął,
Tam zaraz wołano: ruszaj sobie z Bogiem!
Oh! niema roboty, a późna już pora,
Czyż dzień ten mi znowu ma marnie upłynąć?
Jam głodny, nic w ustach nie miałem od wczora,
Czyż z głodu i chłodu dziś przyjdzie mi zginąć?
I druciarz posmutniał ku niebu wzniósł lice,
Ufając, że ono go może ratować,
I minął znów bramę, wstąpił w kamienicę,
I znowu zanucił: *hej garnki trutować*!
I znowu jak dawniéj, nikt z okien nie woła,
A wieczór za pasem, na dworze tak chłodno,
A wrzawa i śmiechy tak brzęczą dokoła,
A jemu tak smutno, a jemu tak głodno.
Oj! głodno i chłodno, do domu daleko,
I burka podarta i pustki w kieszeni;
Więc spojrzał dokoła omdlałą powieką,
I smutny, zwątpiały siadł na progu sieni.
Tak dobry już kwadrans boleśnie mu spłynął,

Na miasto już zwolna zapadał cień mroku,
A każdy górala na progu ominął,
I o nic nie spytał, choć widział łzę w oku.
On żebrać nie umie, wszak pracy chce tylko,
Choć ciężka go dzisiaj uciska potrzeba,
Więc o nic nie prosi, stęskniony za chwilką,
Gdzie za grosz swój krwawy znów kupi
kęs chleba.
Tak długo napróżno wyglądał osłody,
I ciężki swój smutek ofiarował Bogu,
Gdy młoda dzieweczka niosąc konew wody,
Tuż przy nim na chwilę stanęła przy progu



I spojrzy mu w oczy okiem litościwém,
I na jej wnet twarzy łezki zajaśniały,
Bo dusza odgadła współczuciem prawdziwém,
Że serce tam cierpi, choć usta milczały.
A tyle miłości jaśniało z spojrzenia,
Że nowa nadzieja ożyła w nędzarzu,
Gdy tkliwym głosikiem po chwili milczenia
Spytała uprzejmie:— Cóż ci to druciarzu?
— Ha! bieda, bo bieda, panienko kochana,
Chociaż mi do pracy nie zbrakło ochoty,
Człek próżno się włóczy po mieście od rana,
I nigdzie uprosić nie może roboty.
Głód ściska wnętrzności, wiatr ziębi mi skórę,
Do domu daleko, zabrakło ubrania...
— To chodźże, przerywa, druciarzu na górę,
Mam trochę rosołu i chléb od śniadania;
A właśnie dziś rano zmieniając fartuszek,
Przypadkiem na stole zaczepiłam tacę,
I stłukłam od mléka kamienny garnuszek,
To ściągnij go drutem, a ja ci zapłacę.
— O! Bógże ci zapłać panienko stokrotnie,
Zawołał nasz druciarz z rozjaśnioną miną,
I podniósł się z ziemi, by pobiedz ochotnie
Do kuchni na górę za dobrą dziewczyną.
Gdy skończył robotę, już stojąc przed progiem,
Raz jeszcze się skłonił, i rad jéj ofierze,
Rzekł do niéj: — Panienko, zostańce tu
z Bogiem,
I niech was od złego święty anioł strzeże;
Niech znowu, gdy przyjdę, zdrową was zastanę,
A zawsze ochotnie do pracy zasiędę,
Kiedy zaś powrócę w me strony kochane,
Wraz z matką ja za was tam modlić się będę.
—Masz matkę druciarzu?... o! jak to jest błogo
Mieć jeszcze rodzinę, ból wtedy mniéj trudzi;
Szczęśliwszyś odemnie, ja nie mam nikogo,
Jam biedna tułaczka, sierota wśród ludzi.
—Ej! panno kochana, nie trapcież tak siebie,
Jest ręka, co wszystkich zarówno nas wspiera,
Jest ojciec dla wszystkich wysoko na niebie,
Co zawsze tam czuwa, nigdy nie umiera.
I jam też w boleści rzucał ojców progi,
Lecz wierzę, choć zdala od mojego gniazda,
Że dla mnie tułacza, i dla was niebogi
Wzejść musi wesela promienista gwiazda.
Ja wrócę do matki gościńcem mi znanym,
Do chaty mej droższej nad te skarby świata,
A wy też panienko, z chłopcem ukochanym
Spędzicie uczciwie długie szczęścia lata.

* * *

Wilk często tuż siedzi, gdy mowa o wilku,
Bóg z nieba spogląda na uczciwe czyny;
Zgadł druciarz prostaczek, gdyż po latach
kilku
Zmieniła się dola gościnnej dziewczyny.
Bo razu pewnego wśród wesołej wiosny,
Gdy druciarz powracał gościńcem mu znanym,
I wznosił ku niebu głos pieśni radosny,
Szła Maryś do ślubu z chłopakiem kochanym.
Tak dolę dwóch istot Bóg dobry osłodził,
Napełnił radością ich serca niewinne,
I szczerą gościnność sieroty nagrodził,
I wrócił tułacza tam w strony rodzinne!

Pani Maciejowa.

—

O! nieraz słowo nam rany zadało
Głębsze, niż inne zabójcze zbroje,
Bo tamte tylko ranić mogą ciało,
A złe zaś słowo rani duszę twoję!

A toż to istne skaranie boskie z temi porwiszami! Co położysz, to nie twoje; inoby trzeba każdziuteńką rzecz pod kluczem chować, a klucza jeszcze nigdy z kieszeni nie popuszczać. Oto i teraz, wetknęłam igłę w tę tu poduszeczkę, doskonałą igłę, aż tu fru! igła uleciała gdzieś— ale ja wiem gdzie, dalibóg że wiem! To ta niegodziwa Józefa ją świsnęła, nikt, tylko ona. Tak mówiła zasapana z gniewu pani Maciejowa szewcowa z Podwala.

— Józiu, Józiu! krzyknęła po chwili, a prędzej tu niecnoto! Jeszcze nie dokończyła ostatniego słowa, gdy wbiegła do izby ładna 16to letnia dziewczynka, zarumieniona z pośpiechu, przelękniona groźną postawą swej pani, i stanęła na środku ze spuszczoną główką.

— Kto mi tu zabrał igłę, kto? gadajże? tylko mi nie kłam niegodziwy mruku, bo wiedz, że twój rumieniec wydał cię już zawczasu.

— Ale doprawdy że nie ja!.. jak moję matkę kocham, jak panią szanuję, tak nie wzięłam, a nawet nie widziałam dziś tej igły.

— Nie widziałaś! proszę... a kto tu chodzi więcej, jeżeli nie ty? Pytałam się już mojej Teresi, szukałam wszędzie darmo, i śmiesz się jeszcze zapierać, żeś nie ruszała. Taka to wdzięczność!.. weź tu od dziecka, wychowaj biedną sierotę, a zamiast pociechy, upilnować się z niczem przed nią nie można. Czyż to nie masz gęby, abyś prosiła, czy ja ci igły żałuję czy co? Ale wygodniej pannie Józefie nie kiwnąć głową i wziąć, a pani niech potem szuka, niech się złości, niech mitręży sobie czas drogi, cóż to komu szkodzi? Ale to się już skończyć musi, tak dłużej żyć nie mogę; niech ci się jeszcze raz choć jeden raziczek co podobnego trafi dziewczyno, a jak Bóg w niebie, pożegnamy się z sobą na wieki, krzyknęła pani Maciejowa, kładąc rękę na piersiach—ale w tej chwili syknęła przeraźliwie i podniosła do góry palec rozkrwawiony, do którego przypięła się owa nieszczęsna igła, przyczyna całego zamieszania i gniewu.

Zawstydzona Maciejowa przypomniała sobie, że wstawszy zrana, dokończyła obszywać trzewiki i wpięła igłę w szlafroczek, a potem szukając jej wszędzie, nie spojrzała tylko po sobie.

— Przepraszam cię moje dziecko kochane! przepraszam! bo to widzisz ta moja nieszczęsna prędkość tak krew burzy we mnie, szepnęła, zbliżywszy się do Józi, i pogładziwszy ją po zroszonej łzami twarzyczce, dostała z szafki pierników i parę jabłek, chcąc temi łakotkami złagodzić niesłuszne posądzenie, oraz zelżywe słowa, jakich nie szczędziła niewinnej sierocie.

Dziewczę pocałowało ją w rękę, przyjęło dar, wzdychając jednak głęboko; znać w duszy pozostał żal za tak srogie, a niezasłużone wyrzuty. Maciejowéj równie markotno było, radaby schwycić napowrót i połknąć swe słowa, ale trudno!.. słówka uleciałego nikt złapać nie zdoła!

Trzeba wam bowiem wiedzieć, że bardzo dobre serce miała ta pani majstrowa, ale cóż z tego, kiedy je przygłuszała zupełnie porywczość i nieszczęsna podejrzliwość. Te dwie wady były przyczyną częstego niepokoju i licznych zajść domowych. Czuła i dobroczynna, ostatnim kawałkiem chleba podzieliła się z biedakiem, jeżeli on w dobrą zawitał godzinę; ale biada mu, gdy przyszedł w chwili, kiedy jej się co zarzuciło! Wtedy bowiem nienawidziła cały rodzaj ludzki, i wszyscy byli u niej złodzieje, próżniacy, godni kary, a nie współczucia.

Prócz tego Maciejowa była najlepszą żoną, pracowitą gospodynią, czułą matką dla sześcioletniej jedynaczki, troskliwą opiekunką Józi, którą wziąwszy z ulicy jako opuszczoną od ludzi sierotę, od dziecka żywiła, odziewała i wychowała niby swoję krewniaczkę; słowem Maciejowa była wzorowa kobieta. Ale niestety! trwało to jak wiecie póty, póki jej co nie zaginęło. A na nieszczęście dosyć się często podobne przypadki nadarzały, bo brakowało jej także ładu, rzeczy jej nie miały oznaczonego miejsca, i przez to zapominała nieraz, gdzie co schowała. Niecierpliwa z natury poddawała się swej gwałtowności, za nim potrzebny przedmiot znalazła, potem zwykle gniew ustępował miejsce żalowi, przyrzekała w duszy poprawę; lecz cóż, gdy jej postanowienie za pierwszą zarzuconą

spilką wniwecz się obracało. Tak i teraz, jak to słyszeliście, na płacz jej się zbierało, patrząc na smutną wychowankę, radaby jej nie wiem czem wynagrodzić niesprawiedliwość. Zawołała więc swą małą Teresię igrającą na podwórku i powiedziała Józi, aby poszła z nią przejść się do Krasińskiego ogrodu, choć to był dzień roboczy. Józia znając dobrze swoję panią, siliła się pokryć żal, ale w głębi serca bolała ją ciężka zniewaga, tak często ponawiana; nasuwała ją myśl, że po tyloletniej wierności, zawsze bywała posądzaną. Idąc z Teresią w milczeniu, rachowała się pilnie z sumieniem, czy kiedy postępowanie jej wzniecić mogło podejrzenie jej prawości; i przypomniała sobie wreszcie, że raz tylko jeden, będąc dzieckiem, złakomiła się zapachem świeżego séra i ukroiła sobie pokryjomu kawałek, a pani schwyciła ją na gorącym uczynku—ale to już tak dawno! i więcej nigdy nic podobnego się jej nie trafiło.

Zostawmy Józię z jej smutnemi myślami, a wróćmy się znowu do pani Maciejowej. Po opisanem wyżej zdarzeniu jakiś czas spokojnie było w jej domu, bo zakłuty palec obierać zaczął i był niejako hamulcem na zbytnią porywczość. Ale po kilku tygodniach cierpienia palec się zagoił, a zastarzały nałóg zwolna jakby ze stucznego uśpienia przebudzać się zaczął. Złe wkorzenione w jej duszę silniejszej potrzebowało nauki, która na nieszczęście nastąpić miała.

Upłynął rok od opisanego dopiero zajścia. Było to w lipcu, właśnie w dzień niedzielny, przed ósmą z rana majster z czeladzią poszedł na ranną mszę do Fary. Józia wyszła z koszyczkiem za Żelazną-bramę, Teresia śpi jeszcze w łóżeczku, a pani majstrowa kręci się i lata jakby opętana po całej izbie, zagląda pod łóżka, pod szafy, otwiera i zamyka komódkę, każdą rzecz przewraca, rozkłada po kilka razy: twarz jej rozogniona, ręce drżą jak w febrze. Mały chłopiec z terminu stoi na progu jak skamieniały, boi się prawie oddychać. Już Maciejowa przegląd zrobiła w całej izdebce, biegnie do drugiej: tam kuchnia, łóżko i graciki Józi. Rozruca pościel bielutką z świeżo usłanego łóżka, przetrząsa po podłodze... niema zguby! Otwiera kuferek, przerzuca starannie ułożone rzeczy, trzęsie każdą zosobna, wreszcie znajduje coś zawiniętego w kilka bibuł; rozwija z prędkością.. to śliczna wstążka pąsowa aksamitna z czarnym strzyżonym brzeżkiem.

—Ach! zawołała gwałtownie!.. wtem otwierają się drzwi i wchodzi z uśmiechem na ustach szczęśliwa z taniego kupna Józia, dźwigając pełny koszyczek. Kiedy ujrzała cały nieład i rozgniewaną panią, uśmiech zamarł na ustach i zatrzymała się ulękniona.

— A to zkąd? a to co? krzyknęła, przyskakując do niej Maciejowa i przytykając do oczów znalezioną wstążkę. Cóż to, czyś zaniemiała? gadaj mi zaraz. Zkąd wzięłaś pieniądze na kupienie tak drogiej wstążki? O już teraz to nie moje uwidzenie... o nie! nie! A gdzie buciki atłasowe, których szukam wszędy od kilku godzin? gdzie?.. ja ci powiem gdzie! Oto poszły na ten fatałaszek, dodała, rzucając wstążkę na ziemię i depcząc nogami.

— Ach pani, droga pani, jakże możesz myśleć, abym ja to zrobiła. Boże! czyż ja zasłużyłam na to!..

— Niewiniątko! a dlaczegoś chowała przedemną tę wstążkę, jeżeli godziwym sposobem nabyta?.. czemu mi jej nie pokazałaś niedobra dziewczyno?

—Bo... bo widzi pani, to sekret... wyjąkała, rumieniąc się Józia. Ale Bóg wie, że jestem niewinną, nawet złej myśli...

To rzekłszy z uczuciem, Józefa postawiła koszyk i wysunęła się do sieni, aby wypłakać się do woli.

— Piękny mi sekret! krzyknęła Maciejowa, wybiegając za nią, a moje buciki, gdzie moje buciki? Trzeba odnieść pilny obstalunek, a tu przepadły. Co powie majster! gadaj mi zaraz, cóż z niemi zrobiłaś złodziejko?

Słysząc taki hałas, przechodzący policyant wszedł na podwórko, a uderzony wyrazem *złodziejko*, zapytał o powód gniewu pani majstrowej. Ta oskarżyła Józię o kradzież i nieprzyznanie się do winy. Obwiniona przysięgała się, że jest niesłusznie posądzaną, wreszcie wyznała, że kupiła ową wstążkę za dawane jej różnemi czasy od majstra pieniądze i miała ją ofiarować swej pani na wiązanie w dzień Śtéj Magdaleny jej patronki, dlatego nie chciała powiedzieć prawdy odrazu.

— Fałsz! to bajka! znam ja się dobrze na tych wybiegach, znam! Jeźli prawda, to daj mi buciki... powiedz, co się z niemi stało?

— Widziałam je wczoraj na pani komodzie, poszukam zaraz.

— Widziałaś, a więc wiesz, że były, ale ich niema nigdzie, bo ja szukałam już wszędy.

— Jeżeli pani żąda, wtrącił dozorca, to zaprowadzę ją na ratusz, tam całą prawdę wyśpiewa.

— Dobrze! rób pan z nią, co chcesz, byle się moje buciki znalazły.

Nieszczęśliwa Józia uczepiła się sukni swej pani, błagając, aby jej nie robiła takiego wstydu, a sobie ciężkich oszczędziła wyrzutów. Ale rozgniewana Maciejowa wydarła się z jej rąk i drzwi zatrzasnęła z łoskotem.

Maciejowa znów z gorączkowym pośpiechem wszystko przetrząsać zaczęła; wtem mała Teresia zbudzona hałasem, przetarła oczęta, a uśmiechając się do matki, spytała jej pieszczotliwie, czego się tak gniewa?

— Nie mam się gniewać Teresiu, kiedy ta niegodziwa Józefa, ukradła mi te śliczne różowe buciki, które wczoraj obszywałam frendzelką. Pamiętasz, jak ci się podobały. Tu chłopak czeka, aby je odnieść, a te jak kamień w wodę przepadły. Posądzą nas o nierzetelność, o zawód, majster będzie hałasił — a wszystko to dlatego, że ta elegantka złakomiła się na wstążkę. Ale za to, będzie miała za swoje; tam w ratuszu nie żartują! tam...

— Jakto, przerwała, płacząc Teresia, mama oddała naszą Józię do ratusza? Biedna Józia!.. to nie ona! Ona dobra, poczciwa, wołała, zrywając się z łóżeczka, a objąwszy matkę za nogi: Mamo to nie ona! to ja, z płaczem wyjąkała. Ja to wczoraj zostawszy samą, przymierzyłam te śliczne buciki, co jakby ulał na moje nogi; wtem chłopcy z podwórza zawołali na mnie, abym szła zobaczyć kwiatki, które Florek przyniósł z Foxalu.

-- Dalej! gadaj! gdzie podziałaś buciki?.. co mnie tam do kwiatów, groźnie przerwała jej matka.

— Otóż mamo ja wyleciałam do nich, zabaczyłam o bucikach. Nacieszywszy się kwiatkami, patrzę na nogi, buciki zniszczone do szczętu, bo wpadłam w rynsztok. Przelękłam się bardzo, żeby mnie mama nie wybiła, i schowałam je pod drzewo, co leży na podwórzu. O przebacz mamo!

Matka stała jak osłupiała, nareszcie uderzywszy kilka razy dziewczynkę, schwyciła ją silnie za ramię i zawlokła na podwórze. Teresia łkając, wydobyła zpod wielkiego kloca wsunięte tam nieszczęsne buciki, niepodobne już do niczego. Maciejowa załamując ręce: Jasiu! Jasiu! zawołała gwałtownie, na stojącego chłopca. Jasiek! biegaj co siły, wstrzymaj policyanta, niech biedna Józia wraca; powiedz, że ona niewinna, że znalazła się zguba. Chłopiec jednym skokiem sunął na ulicę, rozżalona Maciejowa wybiegła tuż za nim, tak jak stała. Jasio dopędził Józię, gdy już do ratusza wchodzić mieli, i doniósł, że jest niewinną. Boże dzięki Ci! Ty nie opuszczasz nigdy niewinnie uciśnionej sieroty! jęknęła Józia, ale z przestrachu, wstydu i płaczu, tak z sił opadła, że policyant odprowadzić ją musiał do domu. W pół drogi spotkali się z Maciejową; rzuciła się ona płacząc na szyję wychowanki, całowała ją po rękach i zawiodła ją do dworku. Zaledwie weszły, mała Teresia oskarżając się głośno, upadła do nóg Józi; ta przebaczyła jej z uśmiechem i starała się pocieszać panią. Ale siły coraz bardziej opuszczały sierotę, aż wreszcie zemdlona upadła na ziemię. Co tam było krzyku, płaczu, to i opowiedzieć trudno. Jasio sprowadził doktora; ocucona febrycznego dostała dreszczu, następnie silnej gorączki. Nazajutrz lekarz oświadczył, że Józia z przestrachu zapadła na panujący wtedy tyfus. Maciejowa z rozpaczą w sercu, dzień i noc przy jej łożu trawiła, nie szczędząc kosztów i trudów.

Płakała głośno, gdy chora w malignie zrywając się z złożonemi jak do modlitwy rękoma wołała:

— Pani jam niewinna! pani zlituj się! co robisz?.. to dla ciebie wiązanie!

Tak mijały godziny, aż zbliżył się dzień 9ty przesilenia tej zabójczej choroby.

Maciejowa radaby chorej swoich sił dodać, radaby podzielić się z nią własną krwią i tchnieniem. Ale to było niepodobnem. Józia widocznie słabnąć zaczęła; przed wieczorem zażądała księdza, a opatrzona przez niego na drogę wieczności Sakramentami, błagała panią, aby się nie martwiła, gdyż jej się nic złego nie stanie choć umrze, bo połączy się z rodzicami.

— Ja najmniejszego nie mam do ciebie żalu, przeciwnie czuję dla mej dobrodziejki przy-

wiązanie i wdzięczność za tyloletnie staranie. Bez ciebie pani, mówiła Józia, wyciągając do niej rękę, lękałabym się śmierci, bo nie wiedziałabym, że jest Bóg i nowe życie wieczne. Jedyną tylko mam prośbę... oto pani, niech mój zgon przyniesie pożytek twej duszy... Przyrzecz mi, że odtąd nie obwinisz nikogo bez dowodu, że będziesz hamować twą prędkość...

— Przyrzekam, jęknęła Maciejowa, ale powiedz, może czego żądasz jeszcze, moje drogie kochane dziecię?

— Jeśli łaska, oddaj moje graciki mej biednej siostrze; teraz ona już nie ma nikogo na świecie.

Maciejowa przysięgła wypełnić jej życzenia, potem ukląkłszy, oblewała jej nogi łzami, załamywała ręce, patrząc na mieniącą się coraz bardziej twarz Józi.

Ale Bóg widocznie chciał tylko ukarać Maciejowę i dać jej dotkliwe napomnienie; nie posunął przecież w łasce ojcowskiéj dalej swej chłoszczącej ręki. Po długiem pasowaniu się między grobem a życiem, Józia jakby cudem zaczęła przychodzić do przytomności, i w kilka godzin już niebezpieczeństwo minęło. Choroba się przesiliła, młodość przełamała jej potęgę, trafna pomoc lekarska dopomogła i biedna dziewczyna odzyskała życie.

Chwila ta stała się stanowczą w życiu Maciejowej, przebyła ona wiele, przecierpiała dużo i stała się zupełnie inną kobietą. Poszła naprzód do kościoła, modliła się gorąco; Bóg odpuścił jej winy.

Wyrwaną prawie cudem śmierci wychowankę, Maciejowa przybrała za córkę i kochała odtąd jak własne dziecko; oszczędzała się we wszystkiem, a zbierane pieniądze składała do kassy oszczędności na wiano ukochanej Józi.

Wyrozumiała, cierpliwa, nie wyrzekła słowa bez namysłu, nie posądzała nikogo i pragnie takiem postępowaniem przebłagać Boga, tego obrońcę niewinnie uciśnionych.

Wspominek.

W roku zeszłym w nrze 49 pisma tego mieliście opis miasteczka Sokołowa, leżącego na równinach Podlasia; wiecie ztąd, iż należało ono niegdyś do księcia Bogusława Radziwiłła koniuszego wielkiego księstwa Litewskiego, pana bogatego, w sztuce wojennej niepospolicie biegłego, czego dał liczne dowody, walcząc z nieprzyjacielem jako jenerał gwardyi królewskiej. Pamięć jego żyje dotąd wśród mieszkańców Sokołowa, a nawet jego uczynki stare pisma przechowują.

W r. 1635 pan ten przebrawszy się w najlichszą odzież uszytą z łachmanów, ze Starej-Wsi trzy mile odległej od Sokołowa, gdzie rezydował, przyszedł piechotą do tego miasta, chcąc się przekonać o usposobieniu moralnem jego mieszkańców. Znużony pieszą podróżą, stukał do kilku domów, prosząc usilnie o nocleg i pożywienie; ale wszędzie go odprawiono to odmową, to urąganiem, to nareszcie wyśmianiem niemiłosiernem, że jeszcze dość młody, a na chléb żebracki się puścił. Rozgniewany i zasmucony pan ten nieuczynnością swoich poddanych, udał się Rogowską ulicą ku Repkom, wsi leżącej o milę od Sokołowa, i gdy już wychodził z miasta, ujrzał przy końcu ulicy bardzo ubogą chałupkę, prawie najnędzniejszą. Była ona własnością Romana Chomki; zbliżył się więc do niej książę i zastukał. Zaraz wyszedł z niej właściciel, pytając przychodnia, czegoby żądał?

— Umieram z utrudzenia i głodu, nie mógłbyś mnie na noc przyjąć? zapytał książę.

— Boże mój, odpowiedział Roman, wziąwszy go za rękę, zastajesz mnie w wielkim kłopocie: żona moja słaba, dzieci przerywać ci będą spoczynek. Ale pójdź, przynajmniej ogrzejesz się i przyjmiesz posiłek, z którym chętnie podzielę się z tobą.

Mówiąc to, wprowadził przybyłego do małej izdebki.

— Zostań tutaj, mówił Roman, wprowadziwszy dziadka, a ja pójdę poszukać, aby was czem pożywić. I niebawem wrócił z kiełbasą i chlebem.

Książę odbierając dar ten, rzekł:

— Bóg ci to sowicie nagrodzi.

— Proście tylko, odrzekł Chomka, aby moja żona zdrowo powiła, a więcej szczęścia nie pragnę.

— Więc całkiem jesteś szczęśliwy, zapytał dziadek?

— Sami osądźcie, odpowiedział zapytany: mam oto żonę, którą serdecznie kocham, rodziców żyjących przy sobie i pięcioro zdrowych dziatek; tych wszystkich żywię pracą rąk swoich.. jakże się wam zdaje, czyliżem nie szczęśliwy?..

— Czy rodzice twoi mieszkają z tobą? zapytał książę.

— Jeszczeby też gdzieindziej mieszkali; nie wstydże byłby dla mnie, rzekł Chomka, są tu w alkierzu przy żonie.

— Ależ kiedy ta chałupka taka mała, rzekł książę.

I nie mała, odpowiedział Roman, kiedy oto wszyscy wygodnie się w niej pomieścimy i nikt z nas nie narzeka.

Mówiąc to, poszedł zajrzeć do żony i po chwili przybiegł z radością, niosąc na rękach dziecię nowonarodzone.

— Oto chwała Bogu, zawołał, szóste dziecko, a jaki zdrów chłopak!

Książę wziął na ręce nowonarodzone niemowlę i rzekł:

— Umiem wróżyć, otóż powiem ci, że dziecię to będzie bardzo szczęśliwe i bogate.

Rozśmiał się Chomka na te słowa dziadka, i odniósł dziecię do alkierza.

Wróciwszy, rozesłał słomianą matę na ziemi i zaprosił żebraka z sobą do spoczynku. Położywszy się, książę usnąć długo nie mógł, myśląc:

Co to za spokój w tej ubogiej zagrodzie, jakie tu szczęście prawdziwe, choć w takiém ubóstwie...jak ten biedak spokojnie zasypia na twardej ziemi, bo go zgryzoty nie dręczą. Na małem przestaje, nie ubiega się za dostatkami, które niejeden z krzywdą sumienia zdobywa, duma go nie trapi i nie budzi żądzy osiągnienia coraz większych honorów i zaszczytów, pracuje, dzieli się swą pracą z rodziną i mówi, że jest prawdziwie szczęśliwy.

W myślach takich usnął książę; gdy zaświtało, wstał Roman do pracy, niebawem też i dziadek za nim wybierać się począł w drogę. Przy pożegnaniu rzekł on do Chomki:

— Idę do Węgrowa, będę i w Starej-Wsi, znam tam księcia Bogusława Radziwiłła; pewny jestem, że go namówię, aby twoje dziecię, które się wczoraj narodziło, trzymał do chrztu. Tylko mi przyrzeknij, że zaczekasz z ceremonią do wieczora.

Niebardzo wierzył tej obietnicy Roman, widząc ją płonną, jednakże na wielkie naleganie żebraka obiecał wstrzymać się z ceremonią. Tymczasem ksiądz Zalewski wówczas sprowadzony z modlitwą przedchrzestną do dziecka kazał niemowlę do chrztu niebawem przynieść. Zbiegł cały dzień, nim ubogi Chomka znalazł takich, co mu chcieli dziecię trzymać do chrztu. Bogatym to tylko łatwo o kumów, bo się tam i sami napraszają. Nareszcie po wielu trudach, które ubogi zawsze prawie w takich razach napotyka, zaczęto się wybierać do kościoła z nowonarodzonym, gdy posłyszano niezmierny turkot pojazdów, i tętent koni. Wyjrzał okienkiem na drogę Chomka, obaczył piękne kolasy, i poznał dworskich ułanów, co bywało za księciem Bogusławem jeździli. Najpiękniejsza kareta stanęła przed Romana ubogą chałupką i wysiadł z niej książę Bogusław Radziwiłł, bogato przybrany, a wysiadłszy, rzekł do Chomki, który przed dom wybiegł, patrząc ze zdumieniem na dostojną postać przybyłego i gości:

— Wczoraj wypełniłeś powinność chrześciańską względem ubogiego żebraka, którym ja byłem; dziś ja, mówił dalej, przybywam dopełnić obowiązków sprawiedliwego pana, by nagrodzić prawdziwą cnotę i zasługę. Będę ci do chrztu trzymał syna, dla którego chcę być prawdziwym ojcem. Na ten cel przywiozłem ci tu kumów, dodał książę, wskazując na przybyłych z nim gości. Ciebie zostawiam w tym stanie, który zaszczycasz i którego spokojności zazdroszczę ci, ale użyczę ci dóbr, których ci niedostaje. Wystawię ci wygodną chałupę, gdziebyś mógł łatwiej spełniać gościnność dla tych, którzy w potrzebie zastukają do niej. Dziecię, które ci się urodziło, a które przyjąłeś bez szemrania i z radością, biorę na moję porękę, bom ci powiedział, że będzie ono bogate i szczęśliwe.

Roman gdy mógł przypatrzeć się swobodnie księciu, poznał w nim istotnie owego żebraka, którego przyjął gościnnie. Złożył zatem nowonarodzone dziecię u nóg jego; trzymał je

książę w wielkiej assystencyi do chrztu: dane mu zostało imie Bogusław. Gdy go matka wykarmiła, wychował książę ze swymi synami, i rodzinę całą Chomki udarował hojnie.

Trudno było ubogiemu Romanowi znaleść kumów, bo ludzie często nie cenią drugich z zasługi, lecz z dostatków; ale Bóg ocenił zalety poczciwego kmiotka, i dał mu chrzestnych dla syna rodziców, a w zamian trudów znoszonych w skrytości bez wyrzekań zesłał prawdziwe szczęście.

Drzewa deszczorodne.

—

Na żyznéj naszéj ziemi i w błogosławionym naszym klimacie, nie doświadczamy nigdy braku wody, liczne albowiem rzeki, jeziora, stawy i strumienie kraj przerzynają, częste zaś deszcze skrapiają go obficie. Obok tego pokopawszy ziemię nieco głębiej, znajdujemy wszędzie wody podostatkiem. Dlatego to niepojmujemy i nie oceniamy dostatecznie dobrodziejstwa, którego tak szczodrze używamy; bo nikomu wśród obfitości na myśl nie przyjdzie, coby się to stało, gdyby na raz wszystkie źródła wyschły, a ztąd, gdyby nie było nawet czem spragnionych ust orzeźwić. A jednakże są kraje i okolice tak w wodę ubogie, iż na przestrzeni kilkudziesięciu mil kwadratowych zaledwo kilka miejsc i to skąpo w wodę zaopatrzonych posiadają.

Jednym z podobnych krajów jest wyspa *Ferroe* czyli *Żelazna*, należąca do gromady wysp Kanaryjskich na oceanie Antlantyckim położonych; nazwę swą bierze ona od gruntu, mocno żelazem nasyconego.

Na wyspie tej nie ujrzysz żadnego strumienia, rzeczki żadnéj; zaledwo jest na niej kilka studni, mających skąpo i to złej wody. A jednakże zamieszkaną jest ona dość licznie; jakżeby więc smutne było położenie tej ludności, gdyby Bóg nie zaopatrywał ich, cudownym niemal sposobem w ten płyn tak drogi, bo do utrzymania życia konieczny. Otóż ku środkowi tej wyspy rośnie pewien rodzaj drzew, okrytych długim a wązkim liściem, wiecznie zielonym, bez względu na porę roku. Drzewa te otoczone są zawsze mgłą w kształcie wiszącej chmury, która nigdy nie rozchodzi się, tylko od czasu do czasu skrapla się w rosę tak obfitą, iż ta grubemi kroplami spadając na drzewa i przygotowane pod niemi cysterny (*), dostarcza tą drogą pobliskim mieszkańcom, świeżego zawsze napoju.

Zawiadomienie.

—

Z powodu okazania się księgosuszu w Galicyi w cyrkule Rzeszowskim graniczącym z Królestwem Polskiem, Komissya Rządowa Spraw Wewnętrznych i Duchownych, dla zapobieżenia przeniesieniu się téj zarazy do kraju tutejszego, zaprowadziła na granicy od strony Galicyi, następujące środki ostrożności: 1) Niewolno wprowadzać z pomienionego cyrkułu do Królestwa Polskiego: bydła rogatego, trzody chlewnej owiec, wszelkich produktów bydlęcych, jako to: skór niewyprawnych, mięsa, rogów, racic, szerści i łoju nietopionego, paszy suchej i mierzwy, oraz używanych sprzętów stajennych wszelkiego rodzaju. 2) Osobom z cyrkułu Rzeszowskiego, które mogły mieć jakąkolwiek styczność z bydłem rogatem, jakoto: rzeźnikom, handlarzom bydła i skór, garbarzom, oprawcom i pastuchom, wzbroniony został wstęp do kraju tutejszego; w razie zaś koniecznej tego potrzeby, wymaganem będzie od osób tych poddanie się starannemu oczyszczeniu, podług przepisów policyi weterynaryjnej. 3) Polecono ostrzegać osoby udające się z Królestwa Polskiego do Galicyi, aby unikały wszelkiej styczności z miejscami zarazą dotkniętemi. Podając o tem do wiadomości powszechnej, Komisya Rządowa Spraw Wewnętrznych i Duchownych uprzedza, że niestosujący się do pomienionych przepisów, pociągnięci będą do odpowiedzialności sądowej.

(*) Tak się zwą przyrządy do zbierania i przechowywania wody.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90— kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Naprowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 11 (23) września 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański*.